

OPOWIEŚCI BROKOWSKIE

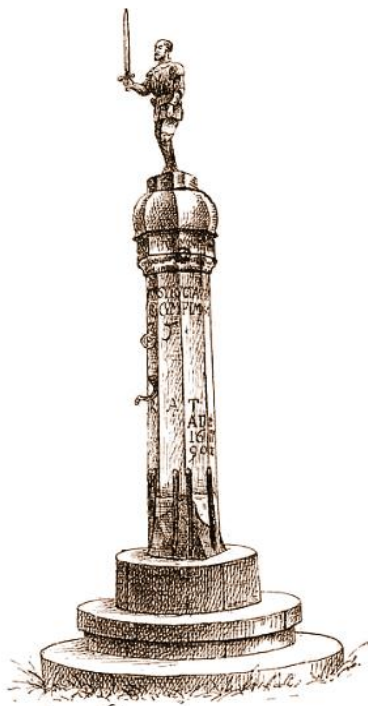
KRONIKA KRYMINALNA

BROKU, DŁUGOSIODŁA, LASKOWIZNY, OSTROWI, SADOWNEGO...

Powiadają, że ostatnie przestępstwo popełniono w okolicy około roku 1949 i chodziło o kradzież jabłek z sadu. Dziwić to nie może, bo ludzie są u nas uczciwi, dobrzy, mili i bardzo uprzejmi. Pewnie, że czasem coś komuś zginie, ale zawsze okazuje się, że ktoś zabrał tę rzecz przez przypadek. Gdy tylko zorientuje się, że popełnił błąd, to właściciela przeprosi, a rzecz mało, że zwróci, to jeszcze od siebie jakiś suwenirek doda, tak by szkodę w dwójnasób wynagrodzić. Bywa też, że ludzie się poczubią, a ktoś, gestykulując, niechcący adwersarzowi fizjonomię paznokciem zadrapie. Zaraz jednak sprawca pobiegnie do domu, przyniesie kawałek aloesu, do rany własnoręcznie przyłoży, a sprawa kończy się serdecznymi uściskami. Jest więc zrozumiałe, że tematów do tej opowieści szukałem w czasach zamierzchłych, gdy moralność stała na znacznie niższym niż obecnie poziomie, przestępczość zaś kwitła. Wprawdzie, jak twierdzą niektórzy, drzwi do domów wówczas nie zamykano, ale po części można to przypisać nie tyle powszechnej uczciwości, ile faktowi, że ludzi nie stać było na kupno porządnego zamka, a jego cena przekraczała wartość nader skromnego dobytku. Studiując zachowane dokumenty, można dojść do wniosku, że Brok był prawie wolny od występku, ale to z kolei może wynikać ze szczupłości materiału, bo w zawieruchach dziejowych brokowskie księgi grodzkie przepadły. Tam, gdzie księgi przetrwały, rzeczywistość sprzed wieków jawi się jako pełna niecnych uczynków.

Z pewnością w Broku i w okolicznych wioskach było znacznie bezpieczniej niż w dużych miastach, bo te ostatnie zapewniały przestępcom anonimowość i oferowały liczne kryjówki. Członkowie małych społeczności żyli w swych mikroskopijnych ojczyznach z rzadka lub nawet wcale ich nie opuszczając. Każdy był nieustannie obserwowany i oceniany przez zbiorowość, co przez pokolenia wzmacniało system obyczajowych hamulców. Zamiast karać – najprościej i najtaniej było czarną owcę wypędzić ze wsi lub z miasteczka. Podobnie jak dzisiaj, przeważały kradzieże, ale nie brakowało morderstw. Złamanie zresztą dowolnego z dziesięciu przykazań równało się popełnieniu co najmniej występku, więc w księgach roi się od spraw mniej i bardziej poważnych.

Jeszcze w dokumentach z początków wieku XIX są wzmianki o stojącym przed brokowskim ratuszem pręgierzu. Ten ostatni, podobnie jak i ratusz był wówczas w opłakanym stanie. Możemy jednak być pewni, że pręgierz pamiętał lepsze czasy, gdy nie stanowił wyłącznie wątpliwej ozdoby rynku.



Ilustracja 1. Pręgierz z r. 1690 przed ratuszem w Poznaniu. Pręgierz, dawniej zwany także piłatem, słupek stojący zwykle przed ratuszem dawnych miast polskich, pod którym kat ścinał głowy skazanych na śmierć i smagano przestępców. Do słupa tego przywiązywano oszustów dla pokazania ich ludowi i winowajców, skazanych na hańbę publiczną, t. j. piętnowanie, czyli „pręgę” lub „wyświecenie” czyli wygnanie z miasta (tak nazwane od tego, że pachołkowie miejsca wyprowadzali ich za bramy miasta ze światłem) [...] Przy każdym pręgierzu znajdowała się żelazna „kuna” czyli kluba, skublica do przymykania przestępcy za szyję lub za rękę na czas wystawienia go na widok publiczny. Stąd było wyrażenie staropolskie: „siedzi jak w kunie”¹.

STRZELANINA

Areną tych wydarzeń nie był Brok, lecz pobliska Ostrow. Wspominam o nich z powodu bliskości miejsca oraz faktu, że brał w nich udział starosta brokowski. 22 grudnia 1640 r. król Władysław IV powiadomił szlachtę mazowiecką o czasowym przeniesieniu obrad sejmiku ziemi nurskiej z Nura do Ostrowi. Zdaniem wielu historyków decyzja ta była efektem lobbingu majątnych ziemian z powiatu ostrowskiego. Decyzję motywowano niewygodami związanymi z dojazdem do Nura, te zaś miały wynikać ze złego stanu przepraw na Bugu i Liwcu. Dla zawsze skorej do zwady szlachty, przenosiny stanowiły pretekst do wszczynania burd, w których efekcie kilka kolejnych sejmików zostało zerwanych². Relację z przebiegu sejmiku z roku 1645 pozostawił Stanisław Albrecht Radziwiłł:

W Ostrowie sejmik źle wypadł. Podkomorzy chciał, by wybrano jego klientów. Sam wprawdzie nie przybył, ale powiat różański wybrał jego na posła. Wobec tego, podstawił na swoje miejsce zięcia Wessela. Byli tam starosta ostrołęcki i starosta brocki Leśniowski. Ledwo Jabłonowski jako poseł królewski wedle zwyczaju wszedł do kościoła, natychmiast powitano go z rusznicy. Wtedy posypały się inne kule i trzech – jeśli się nie mylę – było zabitych, jednak poza kościołem, a pięćdziesięciu rannych. Podkomorzy tak dalece wierzył w swoją sprawę, że nalegał na karę odwetową i wyglądał jej z całą pewnością, ale wynik był zupełnie różny, bowiem po odczytaniu głosów kazano uwięzić prawie dwudziestu szlachty. Podkomorzy nie czekał dekretu i schronił się pod habit św. Dominika, ale nie wstąpił do zakonu³.

¹ Zygmunt Gloger, *Encyklopedia staropolska*, t. IV, s. 117.

² Jolanta Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą: problemy komunikacji społeczności lokalne – władza w epoce Jana Kazimierza*, s. 190.

³ Stanisław Albrecht Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, s. 436-437.

Kościół był zazwyczaj najokazalszym budynkiem w miejscowościach, gdzie odbywały się sejmiki, więc to właśnie świątynię często obierano na miejsce obrad. Być może kierowano się również nadzieją, że uczestnicy uszanują świętość miejsca i pohamują swe temperamenty. Nadzieje okazywały się często płonne, a świątynie były świadkami scen, niegodnych nawet najpodlejszej wiejskiej karczmy. Nauczeni doświadczeniem duchowni dobrze wiedzieli czego oczekiwać po mężach stanu tej klasy, więc zwykli przezornie wynosić Przenajświętszy Sakrament do zakrystii. Zwróćmy uwagę, że opisywane starcia przeniosły się na teren przykościelnego cmentarza, który był wówczas także cmentarzem grzebalnym, zatem ręce, nosy, uszy i wszelkie inne części ciała, brać szlachecka obcinała sobie nawzajem na grobach przodków.

Relacja dotyczy jedynie centralnego punktu wydarzeń, ale śmiało można założyć, że do krwawych potyczek doszło także w peryferyjnych rejonach Ostrowi. W nędznych, prowizorycznych gospodach goszczono tam drobną szlachtę przybyłą na koszt możnych. Od rana dawano tam do jadła także gorzałkę i piwo. Tych, którzy zachowywali pewien umiar i zdolność do utrzymania się na nogach, prowadzono na miejsce obrad. Tam zaś odpowiednio pouczeni, pewne rezolucje przyjmowali z entuzjazmem, a przeciwko innym ochoczo protestowali. W gospodach pozostawało jednak wielu przybyszów, którzy nie wykazywali żadnej ciekawości publicznymi sprawami. Zainteresowani jedynie piciem, jedzeniem i wszczynaniem tumultów, w rzadkich chwilach odzyskiwania władzy w nogach i rękach, przypominali sobie o jakichś rzeczywistych lub urojonych, a zadanych ich antenatom ranach na honorze i w pijanym zwidzie przystępowali do wyrównywania rachunków.



Ilustracja 2. Bójka w kościele, rycina z książki *Gedoppelter Polnischer Sack-Spiegel oder merckwürdige Vorbildung des ehemal- und dermahligen Zustandes in Polen*, Frankfurt 1734.

Źródło: Bayerische Staatsbibliothek – digital.

ZABÓJCY

Na wielu obszarach Rzeczypospolitej grasowały zbójce bandy. Łotrowskiej aktywności sprzyjały szczególnie poprzecinane handlowymi traktami tereny górskie, ale Puszcza Biała także stwarzała atrakcyjne warunki dla tego procederu. Na przebiegających przez puszcę gościńcach można było łupić kupców, po czym skryć się w gęstwinie. Wielu też było zbójów wędrownych, przenoszących się z miejsca na miejsce. Włoczyli się po traktach, napadając w małych grupkach na kupców, na młyny, karczmy, na leżące na uboczu dwory, a gdy głód zajął im w oczy, to i chłopskiej chałupie nie przepuścili.

W roku 1742 zbójcy obrabowali i zamordowali na trakcie pod Brokiem kilku kupców żydowskich z Tykocina. Sprawców udało się pojmać, a 21 listopada 1742 r. tykociński sąd burmistrzowski, któremu przewodniczył wiceregent grodu brańskiego Jan Moniuszko, skazał zabójców na karę śmierci⁴.



Ilustracja 3. Vinzenz Katzler, *Pierwsza ofiara „żelaznej dziewicy”*, rycina z książki *Dunkle Geschichten aus Österreich*, Wiedeń 1868.

Źródło: Vinzenz Katzler, *Public domain*, via *Wikimedia Commons*.

Nie znamy nazwisk ofiar i sprawców. Nie wiemy, czy przestępstwo było zaplanowane, czy przeprowadzone ad hoc przez zbójców wędrownych, ale możemy się domyślać przebiegu śledztwa. Z pewnością przesłuchaniom towarzyszyły tortury. Miasta co ważniejsze dysponowały zwykle piwnicami, bogato wyposażonymi w narzędzia służące udręczeniu podejrzanego. Nie chcąc pozostać w tyle w rozwoju cywilizacyjnym, dbano o sprowadzanie z Zachodu wszelkich nowinek technicznych: głowy gnieciono w „czapkach pomorskich”; palce

⁴ Małgorzata Choińska, *Spółeczeństwo miasta Tykocina w XVIII i XIX wieku*, s. 217.

skręcano w „śrubnicach”; „kolczyste sznurówki” wżerały się w piersi i plecy nieszczęśników; stopy miażdżono z pomocą „butów hiszpańskich”; „żelazna dziewica” bez litości raniła całe ciało torturowanego; skórę przypalano specjalnymi blachami. Maltretowaniem przesłuchiwanym zajmowali się wykształceni w tym kierunku, profesjonalni „mistrzowie sprawiedliwości”.

Jeżeli Brok cieszył się posiadaniem podobnej izby tortur, to prawdopodobnie dotyczyło to tylko okresu do miesiąca maja roku 1657. Brok był wówczas miastem na tyle zamożnym, że jeżeli nie miał własnego mistrza, to stać było tutejszych mieszczan na zlecenie podobnej roboty wynajętemu profesjonalistcie. Gdy miasto straciło na znaczeniu, to identycznie jak w innych ubogich grodach, a nawet po wsiach, uciekano się do metod „domowych”, czyli partaniny ograniczonej do przypalania więźnia świeczką, rozżarzonymi węglami lub pochodnią i rozciągania przesłuchiwanego na drabinie.

WŁAMANIE DO KOŚCIOŁA

Włamania do świątyń były przed wiekami wydarzeniem dość pospolitym. Niestety i w Broku doszło do podobnego wypadku. Członkowie miejscowego Bractwa Różańcowego zwykli zbierać się na sesje raz w roku – na początku października w dzień święta Matki Boskiej Różańcowej. Widząc więc datę 21 lutego 1757 r., spodziewałem się, że zaszło coś nadzwyczajnego i przez to warte go odnotowania w księdze. Rzeczywiście, pod datą tą napisano:

W nocy wylamawszy złodzieje kratę żelazną z muru w zakrystii, dobyli się do skarbca dębowego, dosyć dobrze pięcioma zamkami opatrzonego, u którego kłódki w proch potłukli, skoble poutrącali, zamek o dwu zamknięciach oderwali. Zabrali: Monstrancję nową w promieniu z koroną, na wierzchu wyzłoconą, dosyć piękną i niemalej wielkości, wartości florenów 550. Sukienkę srebrną pozłocistą w dwu sztukach na wyż na półtora łokcia, na szerz na łokieć z obrazem św. Matki Boskiej Różańcowej wartości florenów 1540. Kielichów pięć: trzy wielkich staroświeckich z patynami, po wierzchu i wewnątrz wyzłacanych; czwarty nowy z patyną, tak samo po wierzchu i wewnątrz wyzłacany, równy starym wielkością, w roku 1751 od JMości księdza Dąbrowskiego kustosa płockiego, dziekana pułtuskiego na ten czas proboszcza brokowskiego sprawiony z pucharu srebrnego po ś. p. JMości kanoniku pułtuskim, proboszczu brokowskim Dominiku Węgrzynowski; piąty pomniejszy z patyną po wierzchu po części wyzłocony. Krzyż wielki srebrny staroświecki z pasyjką wyzłoconą, u którego rogi wyzłocone, pacyfikat srebrny okrągły na wyż na półtożej piędzi. Tabliczków srebrnych, niektóre pozłacane; koron pięć od obrazów, które były pozłacane, przybijane na dwóch kolumnach wartości 500 tynfów; srebra łamanego w worku, między którym było guziczków okrągłych małych 4, krzyżyków małych 3, łańcuszek alias sznurowadło 2 i innych drobnych fragmentów z półkwarty. Pieniądzy różańcowych na obraz noszony florenów 125. Ornat biały nowy w złote kwiaty, wartości tynfów 144; ornat fioletowy stary w złote kwiaty. To wszystko zabrali, tak że teraz nie masz w czym Mszy Świętej odprawić⁵.

⁵ *Księga Bractwa Różańcowego*, brak numeracji kart, Kancelaria Parafii Rzymskokatolickiej p.w. św. Andrzeja Apostoła w Broku.

Wartości niektórych skradzionych przedmiotów nie podano, więc dokładne porachowanie strat kościoła brokowskiego nie jest możliwe, ale z pewnością wyniosły nie mniej niż 3000 florenów. Był to dla parafii uszczerbek ogromny. Za kwotę taką można było nabyć w Lublinie 95 koni albo 650 cieląt. Handlarz odzieżą i obuwiem oferował za tę sumę 250 kozuchów lub 850 par butów. Na zakup owych 250 kozuchów rzemieślnik musiałby poświęcić 2500 dniówek, a jego pomocnik dwakroć więcej⁶.

Wnet po wykryciu przestępstwa rozegrały się sceny znane z filmów gatunku „płaszczka i szpada”. Ślady pozostawione przez konie przestępców wiodły ku brzegowi Buga i dalej w kierunku Sokołowa Podlaskiego. Natychmiast zorganizowano grupę pościgową liczącą dwudziestu dwóch jeźdźców. Skutkiem panującej zamieci, śnieg tropy szybko zasypał, ale nie zaprzestano pościgu. Zaglądano do karczem, dworów, probostw i chłopskich chałup. Wypytywano dziedziców, duchownych, oficjalistów, urzędników, sołtysów i wieśniaków. Niestety, po kilku dniach i nocach bezowocnych poszukiwań, śmiertelnie zmęczeni, pozbawieni wszelkiej nadziei na sukces brokowiacy, powrócili do miasteczka.

Zrabowane dobra skupowali przeważnie karczmarze. Skradzione świnie czy owce nabywali miejscy rzeźnicy, a konie spieniężano na odległych jarmarkach. Rzeczy skradzione w Broku najprawdopodobniej trafiły do Lublina lub Warszawy. Tylko bowiem w miastach największych działali paserzy specjalizujący się w handlu kosztownościami wielkiej wartości.

Być może o innej porze roku i przy innej aurze, ekspedycja zakończyłaby się pomyślnie. Możemy przyjąć, że pościg został zorganizowany profesjonalnie, bo przez ówczesnego naddzierżawcę dóbr brokowskich, adiutanta generała infanterii królewskiej Bartłomieja Turskiego. Swoją rolę w akcji mieli też z pewnością stojący na czele lokalnego wymiaru sprawiedliwości wójt Paweł Puchalski oraz oficjele wspomnianego bractwa: Adam Kańkowski, Adam Szydło, Ignacy Kunkowski, Maciej Jachna, Andrzej Kaczkowski, Jakub Glinka, Tomasz Niegowski, Łukasz Wrona, Michał Jachna, Jakub Batog, Walenty Rachowski, Grzegorz Czapka, Stanisław Szumski, Franciszek Pokorski, Mateusz Szydło, Jan Małkiński, Ignacy Szydło, Stanisław Popławski, Grzegorz Gomoliszek, Jan Pomaska, Marcin Pogrodka.

Proboszczem brokowskim był podówczas ks. Józef Niemierka, wikarym zaś ks. Ignacy Szymański. Jak wkrótce się przekonamy, zdarzało się, iż to duchowni organizowali pościgi.

MARUDERZY

Wątpliwe, aby wyżej opisanego, dobrze zaplanowanego włamania dopuścili się jacyś przypadkowi rabusie. Podobne czyny były często dziełem żołnierzy. Na pierwszy rzut oka żołd żołnierski nie był mały i odpowiadał dochodom rzemieślników. Żołd dla jazdy winien być wypłacany co kwartał, dla piechoty zaś co miesiąc. To jednak tylko teoria, gdyż na porządku dziennym były wieloletnie opóźnienia w wypłatach, a spóźniony żołd często przywłaszczali sobie dowódcy. Miesiącami utrzymywali żołnierzy częściowo kosztem własnym, a częściowo przeprowadzając rekwizycje, więc nie widzieli w podobnym

⁶ Władysław Adamczyk, *Ceny w Lublinie od XVI do końca XVIII wieku*, tab. 8, 9, 33, 35, 70, 71.

przywłaszczeniu niczego zdroźnego. Chorego lub rannego żołnierza zostawiano zwykle na łasce losu. Szablą i muszkietem był takiemu nieszczęśnikowi żebraczy kij. Po każdej wyprawie wojennej gościńce zapełniały się zdemobilizowanymi, często oszukanyymi przez dowódców i pozbawionymi żołdu maruderami. Byli żołnierze raz po raz zbierali się w zdemoralizowane gromady, po czym terroryzowali ludność cywilną i nie stronili od rabunków.



Ilustracja 4. Sebastian Vrancx, *Maruderzy*, olej na płótnie XVII w.

Źródło: *Sebastiaen Vrancx*, CC BY-SA 3.0 <<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/>>, via Wikimedia Commons.

W roku 1755 podający się za porucznika Piotr Myszkowski zmierzał wraz z czterema podkomendnymi z Litwy do Warszawy. Zwolnieni ze służby w wojsku radziwiłłowskim, mieli nadzieję, że w stolicy zaciągną się do wojska. W aktach odnotowano jedynie ich wyczyny na trasie pomiędzy Wizną i Wyszkowem, więc nie wiemy, czy hultajstwami podobnymi do tych, o których za chwilę czytelnik się dowie, nie wsławili się także na początku podróży. Gdy karczmarz w Wiznie zwrócił się do Mieszkowskiego z prośbą o zapłatę, otrzymał – szczęśliwe niezbyt groźne – cięcie szablą przez głowę, a następnie został obrabowany. Wojacy skierowali się do Łomży, a ponieważ niegdyś usłyszeli plotkę, że mieszkający w pobliżu gajowy znalazł swego czasu skarb w lesie, to postanowili odwiedzić leśnika i osobiście sprawdzić, jak się rzeczy mają. Przypalany węglami gajowy wyzionął ducha, a maruderzy zadowolili się zrabowaniem z gajówki kilku mało wartościowych rzeczy.

Nad Narwią napotkali cztery kąpiące się dziewczęta, które pospołu zgwałcili, po czym uprowadzili do lasu, gdzie kazali dziewczynom nago tańczyć i skakać nad ogniskiem. Pecha miał wieśniak, który wiozł przez las beczki ze smołą. Smoła posłużyła rozbawionym opryszkom do wysmarowania miejsc intymnych tak dziewcząt, jak i wieśniaka. W końcu

znudzeni wojacy ruszyli ku nowej przygodzie. Pod Ostrołęką napotkali mieszczanina z dwiema córkami. Mieszczanina obrabowali, córki zaś próbowali zniewolić. Jedna z nich, wyciągnawszy z ukrycia pistolet, zagroziła śmiercią każdemu, kto się zbliży. Zachwycony taką postawą Mieszkowski oddał ojcu zrabowane rzeczy, a następnie wyciągnął mieszek i przekazał wystraszonemu rodzicowi pieniądze na posag dla córek. Dla każdej odliczył po tyle monet, ile wiosen sobie liczyły – to jest szesnaście i osiemnaście. Żądze swe bandyci nie na długo utemperowali, jako że już kilka kilometrów dalej zgwałcili inną napotkaną dziewczynę.

Po przybyciu do niewymienionej z nazwy wioski kościelnej najechali na tamtejszą plebanię. Po związaniu proboszcza zrabowali pieniądze, srebra kościelne, wina mszalne i wszelkie inne cenne przedmioty, a że czas naglił, to siostrzenicy proboszcza nie zgwałcili na miejscu, lecz ją porwali. Tuż po odejściu zbójców, parafianie uwolnili plebana, ten zaś naprędce zorganizował pościg. Odgłosy nadchodzącej pogoni pokrzyżowały złoczyńcom ich nieczne plany, więc porzucili nietkniętą dziewczynę i zbiegli. Pod Goworowem okradli kolejnego karczmarza i pohańbili mu córkę, a nieco dalej, bo pod Różanem skradli konie.

Okazuje się, że energiczny proboszcz nie zadowolił się odzyskaniem nieskalanej siostrzenicy, lecz wysłał parafian w różne kierunki z zadaniem wytropienia Mieszkowskiego i jego kompanów. Jeden z tropiących, bakałarz z profesji dotarł do Kamieńczyka i tam wśród oczekujących na przeprawę dostrzegł czterech osobników, o fizjonomiach odpowiadających tym opisanym przez proboszcza. Bystry bakałarz natychmiast zorganizował grupę mieszkańców, która otoczyła bandytów. Trzem, włącznie z Mieszkowskim, udało się niestety zbiec i ślad po nich przepadł, czwarty zaś został postrzelony, po czym spadł z konia i został poddany wnikliwym „badaniom”. Zanim prowadzone domowymi sposobami „badania” spowodowały zgon rzezimieszka, ten zdążył złożyć zeznania, które powyżej streściłem⁷.

FAŁSZERSTWO

W roku 1781 mieszczanin brokowski Grzegorz Godlewski postanowił sprzedać plac w Ostrowi, którego właścicielem stał się kilkanaście lat wcześniej w drodze spadku. Początkowo, jak to zwykle ze spadkami w rodzinie bywa, były jakieś spory, kto jest prawnym sukcesorem tej posesji, ale już od dawna nikt, żadnych pretensji do nieruchomości nie zgłaszał. Roszczenia przestał nawet wysuwać onegdaj najzapalczywszy z pretendentów do spadku, obywatel Ostrowi o nazwisku Zawisza. Jakże się zdziwił Godlewski, gdy zajrzał do ksiąg grodzkich ostrowskich i spostrzegł, że właścicielem rzeczzonego placu jest nie on, ale już od lat dziesięciu właśnie wspomniany Zawisza. Załączony do ksiąg dokument jasno dowodził, że 21 maja 1771 r. Godlewski zrzekł się prawa do placu na korzyść Zawiszy, co potwierdził własnoręcznym podpisem.

Godlewski nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek hojność taką Zawiszy okazał, a warto nadmienić, że pamięć miał dobrą i trunków wysokokowych w nadmiarze nie spożywał. Pod dokumentem widniał jeszcze podpis pisarza brokowskiego Antoniego Kołakowskiego. Ten z kolei twierdził, że pamięć mu szwankuje i niczego sobie nie przypomina, nie tylko sprzed lat dziesięciu, ale nawet sprzed dni pięciu.

⁷ Bohdan Baranowski, *Ludzie gościńca w XVII-XVIII w.*, s. 172-175.

Nie dziwota, iż wzbudziło to w Godlewskim słuszne podejrzenia, że padł ofiarą oszustwa. Złożył więc do ksiąg grodzkich starościńskich pułtuskich pozew przeciwko Kołakowskiemu: „Tak za zmyślenie pomienionego skryptu, jako też danie pretekstu do toczenia procesu z mocy takiego skryptu przeciwko Zawiszy i innym w koszta prawne powoda wprowadzającego”. Sprawa mogła przybrać dla Kołakowskiego obrót tym gorszy, że nie tylko dokument sfalszował, ale nadto świadomie wprowadził falsyfikat do ksiąg, a tym samym sprzeniewierzył się złożonej przysiędze.

W początkach czerwca 1782 r. Sąd Starościński Pułtuski zjechał na sesję wyjazdową do Broku, by na miejscu rozpatrzyć kilka spraw, a pośród nich i tutaj poruszaną. Kołakowski tłumaczył się, że dokument spisał i do ksiąg złożył, ale nie z własnej inicjatywy, lecz przymuszony przez nieżyjącego już mieszczanina brokowskiego Zawadzkiego i z tej przyczyny sam czuje się ofiarą przemocy i wnosi o uwolnienie od winy. Sąd uznał jednak, że czymkolwiek by Zawadzki Kołakowskiemu nie groził, to od śmierci Zawadzkiego minęło już lat kilka, więc oskarżony miał wystarczająco dużo czasu, by powiadomić tak władze, jak i powoda o zaistniałym wymuszeniu. Sąd uznał pisarza za winnego wszystkich zarzucanych czynów i tym samym za zasługującego na jak najsurowszą karę. Dostrzegł jednak pewne okoliczności wyrok łagodzące:

Sąd przez wzgląd na ubóstwo i prostotę jego, do mniejszych kar przystępuje i tak z przyczyny pomienionego skryptu zmyślenia, jako też wielorakich defektów w trzymaniu aktów miejskich i sprawowaniu urzędu pisarskiego przez tegoż pozwanego dopuszczonych, Sąd tegoż Kołakowskiego od Urzędu Pisarstwa Miasta Broku na zawsze oddala i natychmiast obranie innego wolnego, przysięgłego pisarza magistratowi miasta Brok zaleca⁸.

Ponieważ Grzegorz Godlewski nie przedstawił dowodów strat, jakie miał rzekomo ponieść skutkiem starań o odzyskanie swej nieruchomości, to sąd oddalił wniosek powoda o zadośćuczynienie za straty finansowe.

SEK

Z pewnością i w Puszczy Białej grasowali zbójnicy uznawani przez gawieź za bohaterów grabiących bogatych i rozdających łupy biednym. Jeżeli tak nawet bywało, to szlachetni zbójnicy kierowali się bardziej wyrachowaniem niż miłosierdziem. Łupienie biedaków nie miałyby większego sensu, a dobroczynność wynikała raczej z konieczności zachowania dobrych relacji z mieszkańcami okolicznych wiosek. Rozdawali więc zbójcy przeróżne podarki, w karczmach biesiadowano na ich rachunek, a informatorzy i wieśniacy używający kryjówek mogli liczyć na solidne wynagrodzenie.

Miała i Puszcza Biała swojego Janosika, zwanego powszechnie Sękiem⁹. Nie sposób dociec, czy było to nazwisko prawdziwe, czy tylko pseudonim. Wiadomo jest natomiast, że bazą wypadową Sęka były w pierwszych dekadach XIX w. okolice Brańszczyka i stąd wyprawiał się na okoliczne dwory. Był to zbój obdarzony siłą ponoć nadludzką. Bez trudu zrywał

⁸ *Pułtuskie grodzkie jurysdykcji biskupiej*, k. 32, sygn. 12, AGAD.

⁹ Henryk Syska, *Obleciałem Kurpie-Gocie*, s. 67-68.

najgrubsze pęta, a najpotężniejszych przeciwników obalał na ziemię jednym ciosem. Legendy krążyły o jego pochodzeniu: jedni twierdzili, iż był żołnierzem, którego siłą zmuszano do poddaństwa; inni zaś, że to kij ekonomiczny wzbudził bunt w rosnącym wieśniaku i skłonił do poszukiwania zemsty na bogaczach.

Sęk panoszył się w puszczy przez lata i nie sposób, aby zdołał ująć licznym obławom i zasadzkom bez pomocy wieśniaków. W końcu, podobnie jak Janosik, padł ofiarą podstępnej i zdrady. Pojmany przez carskich żandarmów, spętany niezliczonymi powrozami i tak rzucony na wóz, zdołał się podobno uwolnić i zniknąć w puszczy. Słuch po nim wszelki zaginął. Może przeniósł swą działalność w inne miejsce, a może odkopał jakiś niegdyś ukryty, wypełniony monetami garniec i pojawił się w np. Warszawie w roli statecznego kupca lub rzemieślnika?

DEFRAUDACJA

Pod rządami Prusaków, a także w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, wpływ mieszkańców Broku na wybór, czy raczej przydział burmistrza był w praktyce żaden. Za Prusaków rządził w miasteczku „burmistrz policyjny”, a później był to „burmistrz delegowany”. Oczywiście zdarzali się włodarze, którzy wykazali się dbałością o miasteczko i dobrostan mieszkańców, ale podobne starania nie wchodziły w zakres obowiązków burmistrza. Troszczyć miał się przede wszystkim o sprawne ściąganie danin, zachowanie w przyzwoitym stanie dróg i mostów oraz o spokój publiczny. Gdy dobrze się ze swych obowiązków wywiązał, to mógł liczyć na posadę znaczniejszą i bardziej intratną. Brok był więc tylko szczeblem w urzędniczej karierze lub ciepłą posadką dla tych, którzy nie myśleli już o awansach, lecz wyłącznie o emeryturze.

W roku 1828 posadę burmistrza i kasjera zarazem objął niejaki Ryszard Borejko. Już w roku następnym doniósł Borejko, że w jego mieszkaniu doszło do dramatycznego wypadku. Lokal miał się zająć ogniem, lecz szczęśliwie w pożarze nie ucierpiała nie tylko szacowna osoba burmistrza, ale i prawie żaden ze sprzętów. Prawie, bo los tak zrządził, iż ofiarą płomieni padła wyłącznie skrzynia kasowa wraz z zawartością. Naczelnikowi powiatu fakt ten wydał się nieco podejrzany, toteż o swych wątpliwościach doniósł rządowi gubernialnemu, a ten sceptycyzm naczelnika podzielił i 25 stycznia 1830 r. poinformował o dziwnym brokowskim przypadku Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych i Policji:

Mocne pada podejrzenie przeciwko burmistrzowi Borejko, o rozmyślnie podłożenie ognia, wskutek którego skrzynia kasowa znacznie uszkodzona została i jak tenże burmistrz utrzymuje, złotych 900 biletami kasowymi w niej się znajdować mające, są spalone. Przeto w zamiarze wykrycia czynu tego, wezwała Prokuratora Królewskiego przy Sądzie Kryminalnym Województw Płockiego i Augustowskiego o zarządzenie sądowego śledztwa, podejrzanego zaś o malwersację i oszustwo burmistrza Borejko, zawiesić w obowiązkach poleciła¹⁰.

Warto zaznaczyć, że w roku 1829 dochody miasteczka wyniosły 2016 zł i 5 groszy. Prawie połowę tej kwoty, to jest 900 zł, przeznaczono na pensję burmistrza i kasjera w jednej osobie, sługa zaś miejski, czyli policjant Hipolit Brzozowski zadowalał się pensją w wysokości 150

¹⁰ *Miasto Brok, vol. III, k 159-160, AGAD.*

zł. Borejko został zawieszony w czynnościach 17 lutego 1830 r. Doliczono się później, że przepadły następujące środki:

- 20 zł 8 gr od dzierżawcy opłat jarmarkowych Jankiela Osierowicza,
- 28 zł 9 gr od dzierżawcy rybołówstwa miejskiego Majewskiego,
- 353 zł od dzierżawcy propinacji Majera Herszkowicza Beymana,
- 347 zł 25 gr składki szkolnej,
- 58 zł 2 gr składki mieszkańców na stróża nocnego,
- 266 zł 22 gr z tytułu różnych podatków¹¹.

Razem dało to 1073 zł 6 gr i taka kwota obciążała budżet miasteczka. Część środków udało się odzyskać z kaucji, jaką burmistrz wpłacił przy objęciu stanowiska, ale pozostało 602 zł oraz 14 ½ gr. Wyglądało na to, że „defekta Borejki”, będą przez następnych kilkadziesiąt lat wymieniane w remanencie miejskim wraz z innymi nieściągalnymi należnościami. Władze wyższe niechętnie godziły się bowiem na wykreślanie z budżetów trudnych do odzyskania wierzytelności, choćby te pochodziły nawet sprzed pół wieku. „Defekta Borejki” będą więc sąsiadowały m.in. z „należnościami od Skarbu Pruskiego”, które wynosiły 561 zł. Uciekając w panice przed wojskami francuskimi i polskimi, urzędnicy pruscy nie zdążyli rozliczyć się z takiej właśnie kwoty i skrupulatnie wykazywano ją w brokowskich budżetach, aż do połowy wieku XIX. Dopiero wtedy nadeszła zgoda na wykreślenie tej sumy.

Byłem więc przekonany, że długi Borejki znikną z ksiąg, gdzieś dopiero koło roku 1880, ale przyznaję się do błędu. Magistrat brokowski, nie zważając na ciągłe odmowy pozytywnego załatwienia sprawy, słał skargi do kolejnych instancji i już 1 sierpnia 1837 r.: „Najwyższa Izba Obrachunkowa w imieniu Mikołaja I Cesarza Wszech Rosji i Króla Polskiego [...] Defekta w wysokości 602 zł groszy 14 ½ do zwrotu Kasie Miejskiej zarządza i z funduszków jakie tenże Borejko posiada, odzyskać poleca, mocą niniejszej i ostatecznej decyzji. Wykonanie której najdalej za miesiąc trzy od daty wręczenia”¹².

Rząd gubernialny wszczął poszukiwania majątku Borejki, lecz nie tylko majątku, ale i samego Borejki nigdzie nie odnalazł¹³. Śpieszę jednak uspokoić czytelników i donoszę, że należną miasteczku kwotę wyrównano z innych środków.

NADGORLIWOŚĆ

W styczniu roku 1858 stanowisko burmistrza Broku objął Bolesław Kondratowicz. Każdorazowej zmianie burmistrza towarzyszyły przeróżne remanenty, spisywanie magistrackich inwentarzy i przede wszystkim kontrola stanu miejskiej kasy. Do przeprowadzenia tych biurokratycznych czynności naczelnik powiatu ostrołęckiego oddelegował swego pomocnika o nazwisku Łabęcki. W trakcie pracy, tak brokowskiemu włodarzowi, jak i pomocnikowi naczelnika zaschło nieco w gardle, a że dostojnego gościa nie wypadało uraczyć piwkiem czy gorzałką, to burmistrz polecił osobnikowi o nieustalonym nazwisku, by ten wystarał się butelkę wina. Gospodarz miasta urzędował w budynku

¹¹ *Miasto Brok, vol. III, k. 370, AGAD.*

¹² Tamże, k. 379-381.

¹³ Tamże, k. 383-384.

wynajętym od starozakonnego Srola Abramowicza Bronsteina za 36 rubli srebrem rocznie (po roku 1860 za rubli 60)¹⁴, a tuż obok znajdowała się karczma rządowa, w której serwowano niestety wyłącznie piwo i okowitę. Ta zaś karczma sąsiadowała z domem, gdzie Elias Finkelstein (lat 32, żonaty, bezdzietny, niekarany) prowadził w wynajętym lokalu handel krajowymi towarami łokciowymi¹⁵. Posłaniec logicznie pomyślał, że bywały w świecie Finkelstein może dysponować flaszką napoju godnego podniebień osób urzędowych. Nie pomylił się, gdyż kupiec rzeczywiście posiadał w domu butelkę wina przeznaczonego na własne potrzeby, a słysząc, jacy to dygnitarze poczuli pragnienie, natychmiast, z czystej życzliwości przekazał flaszkę „pożyczonym sposobem”, czyli nie żądając choćby złamanego grosza. Trunek musiał być przedni, gdyż przybysz z Ostrołęki zapytał o imię i nazwisko dobrodzieja, któremu boski napój zawdzięczał. Burmistrz zdradził dane osobowe dobroczyńcy, a Łabęcki coś sobie zapisał w notesie.

W sąsiedztwie magistratu, karczmy oraz miejsca handlu krajowymi towarami łokciowymi egzystowała kawiarnia, w której Sura Rosen z domu Teytel serwowała kawę, smakołyki oraz herbatę z dodatkiem krajowego araku. W prowadzeniu interesu pomagał jej mąż Aron (lat 24, dzieci dwoje, niekarany). Małżonkowie dysponowali również niezbyt luksusowym, ale schludnym pokojem do wynajęcia. W tym właśnie pokoju mieli nieszczęście gościć przez dni kilka Łabęckiego. Pewnego wieczoru, pomocnik naczelnika powiatu oświadczył Aronowi, że przed snem z chęcią napiłby się piwa. Sura koncesji na wyszynk piwa nie posiadała, więc Aron czyniąc grzeczność znakomitemu gościowi, pobiegł do najbliższego lokalu z prawem do tegoż wyszynku, nabył butelkę złocistego napoju i pobrał od Łabęckiego kwotę dokładnie taką, jaką w gospodzie zapłacił – ani kopiejki lub grosza więcej.

W końcu marca tego samego roku Elias Finkelstein i Aron Rosen otrzymali z powiatu nakaz zapłaty po 27 rubli srebrem każdy jako karę za nielegalny handel trunkami wyskokowymi. Cała okolica słyszała płacz Sury i jej biadolonia – Aj waj, to złodziejstwo, to gwałt. Okazało się, że Łabęcki odkrył, iż na liście osób posiadających koncesję na sprzedaż wina i piwa w Broku, nie widnieją i nigdy nie widniały nazwiska Finkelstein i Rosen, więc pośpiesznie podał obu do ukarania, wietrząc, iż tym sposobem doda do listy swych zasług sukces detektywistyczny i przybliży chwilę upragnionego awansu. Naczelnik powiatu powiadomił o wykryciu przestępstwa Rząd Gubernialny w Płocku, ten zaś 20 marca polecił naczelnikowi pociągnięcie obu podejrzanych do odpowiedzialności.

Wyglądało na to, że także i tym razem sprawdzi się powiedzenie, iż „każdy dobry uczynek będzie ukarany”. Położenie domniemanych sprawców było tym trudniejsze, że wyjaśnienia sprawy nie mógł podjąć się burmistrz, gdyż wkrótce po objęciu nowego stanowiska ciężko zaniemógł, a 2 lipca zszedł z tego świata w wieku lat 36. Po ochłonięciu z pierwszego szoku obaj niesłusznie oskarżeni i ukarani napisali odwołania do warszawskiej Komisji Spraw Wewnętrznych i Duchownych, prosząc „o uwolnienie od kary lub polecenie wyprowadzenia śledztwa”¹⁶.

¹⁴ *Miasto Brok, vol. V, k. 320, AGAD.*

¹⁵ Chodzi o handel tkaninami.

¹⁶ *Miasto Brok, vol. V, k. 200.*

Komisja rządowa przychyliła się do prośby i 11 sierpnia 1858 r. przybył do Broku celem wyjaśnienia sprawy Konstanty Puchalski, pełniący obowiązki wójta gminy Jasienica. Zastawszy w magistracie pełniącego obowiązki burmistrza, kasjera miejskiego Józefa Skłodowskiego polecił przywołanie obu starozakonnych. Ci potwierdzili opisany powyżej przebieg wypadków i oświadczyli, że na świadków swej niewinności „przywołać mogą Brok cały”, ale Puchalski odparł, iż z racji szczupłości miejsca wystarczy po dwóch świadków, oby ludzi szanowanych, dobrej konduity i wyróżniających się zamożnością.

Zeznania Finkelsteina potwierdzić mieli: Franciszek Gąsowski (lat 50, żonaty, dziecko jedno, urodzony w Szulborzu w parafii Zuzelskiej, właściciel gospodarstwa rolnego, niekarany) oraz brokowski ławnik honorowy Józef Wójciki (lat 40, dzieci sześcioro, właściciel gospodarstwa rolnego, niekarany). Obaj oświadczyli m.in., iż „do jego sklepu wielokrotnie w celu zakupu towarów łokciowych udawaliśmy się, a przecież żadnego handlu winem, a tym samym szynkowania onego nie widzieliśmy”¹⁷.

Celem potwierdzenia zeznań Rosena, stawili się: brokowski ławnik honorowy Tomasz Szumski (lat 50, żonaty, dzieci troje, utrzymujący się z własnego gospodarstwa rolnego, niekarany) oraz Antoni Trębicki (lat 40, żonaty, bezdzietny, właściciel gospodarstwa rolnego, niekarany). Ci z kolei dżentelmeni zgodnie zeznali, co następuje: „Ponieważ jako sąsiedzi znamy osobiście starozakonnego Arona Rosena, więc wiemy dostatecznie, że tenże, jako mający żonę, która posiada konsens na kawiarnię, tym się tylko procederem przy swej żonie zajmuje, to jest, sprzedaje kawę i herbatę z dolaniem araku krajowego, a żadnym szynkiem piwa nie trudni się”¹⁸.

Pozostało jeszcze do ustalenia, kto tamtego feralnego, styczniowego dnia przybył do Finkelsteina celem pozyskania wina. Podejrzewano, że mogło chodzić o policjanta brokowskiego Jana Kosińskiego (lat 40, żonaty, dzieci sześcioro) lub magistrackiego stróża nocnego Ignacego Jembrzykowskiego (lat 25, żonaty, bezdzietny). Ten wątek pozostał niewyjaśniony, gdyż policjant i stróż zgodnie oświadczyli: „Kiedy była instalacja dziś nieżyjącego Kondratowicza, którą dopełnił wielmożny Łabęcki, myśmy obydwaj jako zajęci posługami przy magistracie pod ten czas, nie byliśmy posłani przez tegoż burmistrza o wystaranie się wina dla przyjęcia tego Łabęckiego, ani kto mógł być posłany po takowe, nie wiemy”¹⁹.

Pojawienie się w naszej opowieści Kosińskiego i Jembrzykowskiego, to okazja, by przekonać się, czy 27 rubli srebrem było kwotą znaczącą. Otóż policjant brokowski otrzymywał w tym czasie za roczną służbę 37,5 rubla, stróż zaś nocny niecałe 30 rubli i obaj, pospołu z większością mieszkańców ubogiego miasteczka klepali biedę. Dniówki robocze przy kolejnej odbudowie zniszczonego mostu na Broczysku, kalkulowano w tym czasie następująco – dla majstra 0,6 rubla, a dla robotnika 0,3 rubla w srebrze.

¹⁷ *Miasto Brok*, vol. V, k. 211.

¹⁸ Tamże, k. 214.

¹⁹ Tamże, k. 215.

Po wnikliwym zbadaniu sprawy Konstanty Puchalski wydał niniejszą opinię: „Ci starozakonni niewłaściwie pokarani zostali, a zatem od zapłacenia wymierzonych kar uwolnić ich należy”²⁰. Zdanie Puchalskiego podzieliły rząd gubernialny w Płocku i komisja rządowa w Warszawie. Ta ostatnia poleciła ponadto pouczyć naczelnika powiatu, aby „jego urzędnicy baczniej się w przyszłości wnoszonym sprawom przyglądali”²¹.

NIEDALEKO PADA JABŁKO

Zamieszkujące przeciwny do brokowskiego brzeg Buga małżeństwo niemieckich kolonistów Jabsów, nie mogło doczekać się dziedzica, który zatroszczyłby się o małżonków na starość. Wreszcie, około połowy wieku XIX ich starania zaowocowały przyjściem na świat Adama. Adaś już od najmłodszych lat dawał się we znaki wszystkiemu, co żyło w okolicy. Zagrożona była każda istota bez względu na jej narodowość i religię. Wszystko, co chodziło, biegło, latało lub pełzało, a maluchowi się napatoczyło, to już sobie spokojnie nie pożyło. Dzieciaki ze wsi na jego widok czmychały, a jak jakiś durny zgodził się na wspólną zabawę, to Adaśko piaskiem mu w oczy sypanął, zęba wybił albo przynajmniej odebrał łódeczkę, którą sobie nieboraczek z kory wydłubał. Jeszcze na czworakach do cudzych sadów się zakradał, a ledwo na nóżkach stanął to jajka i pisklęta z gniazd wybierał. Rwał się za to do pomocy, gdy ktoś świniaka ubijał i jakoś strasznie tę krwawą robotę miłował. Tu i ówdzie szeptano, że rodzice po bezowocnych modlitwach, zwrócili się o pomoc do szatana, więc nie dziwota, że małego czorta w nagrodę dostali.

Polacy wołali na ancymonka Adaśko, czyli w niemieckiej pisowni Adaschko, co koloniści szybko przekręcili na Duschke. Podręczniki o bezstresowym wychowaniu dzieci jeszcze wówczas nie istniały, lecz rodzice słodziaka musieli przeczuwać ich nadejście. Wszyscy wokół radzili Jabsom, by dyscypliny Duschke nie żałować, a sąsiadki przestrzegaly:

– Źle kumo syna wychowujecie, wielkiej pociechy to wy z niego mieć nie będziecie.

Szczęśliwa para nic sobie z tych dobrych rad nie robiła i nadal rozpieszczała jedynaka. Matka mówiła, że ludziska tak gadają, bo po prostu zazdroszczą wspaniałego chłopczyka, ojciec zaś, choć nie tak, jak ona zaślepiony, to machał tylko ręką, mruczając coś tam pod nosem.

Demoniątko rosło i zamieniało się w prawdziwego czarta, coraz śmielej kradło i coraz mocniej biło. Jak go ktoś spotkał na drodze i powitał – Grüß Gott! – lub po polsku – Szczęść Boże! – to ten tylko spode łba niczym wściekły wilk spojrział. Rodzice wydumali, że nie ma innej rady, jak ożenić synalka, ale nadzieja, że ożenek go odmieni, okazała się płonna. Dla większej skuteczności w czynieniu zła zaopatrzył się rzekomo Duschke nawet w księgę czarów. Pośród swych licznych występków okradł m.in. kościół, a fanty ukrył na cmentarzu. Stworzył wielonarodową bandę rabusiów, specjalizującą się w kradzieżach koni i napadach na podróżnych. W domu nic z jego łupów nie widziano, bo wszystko, co zrabował, zostawiał po szynkach. Z każdego kolejnego pobytu za kratami wracał Duschke z pomysłami na nowe łotróstwa. Po powrocie z więzienia mamił rodzinę, że się zmienił, ale wracał tylko po to, by przy troskliwej żonce najeść się do syta, ciała nabrać, wypocząć, po czym znowu ruszał tułać

²⁰ *Miasto Brok, vol. V, k. 216.*

²¹ Tamże, k. 219.

się po świecie i zło czynić. Miarka się przebrała i nadszedł dzień, gdy żona i dorośli już synowie odpędzili powracającą z więzienia głowę rodu od drzwi domostwa.

Odrącony, upewniwszy się, że w rodzinnym domu karmić darmo go nie chcą, zamieszkał w Sojkówku z niejaką Elisabeth Malitzki, której obiecał wierność i moralną poprawę. Ze związku tego zrodzony został Peter, którego dokonania przekroczą wyczyny ojca. Drugi, porządny syn zostanie sołtysem w Płatkownicy. Obietnicy poprawy senior oczywiście nie dotrzymał, a poważali go tylko szynkarze, u których wraz z kamratami nadal przepijał skradzione pieniądze. W końcu i sędziowie stracili do Duschke cierpliwość i zamiast do więzienia, posłali go na Syberię. Z racji tego, że był już w wieku podeszłym, to trudów wędrówki nie wytrzymał i zmarł po drodze, a miejsce spoczynku znalazł, gdzieś pod rosyjskim, cmentarnym płotem.

Peter poszedł w ślady ojca. Wraz z towarzyszami napadał w nocy na szlacheckie dworki, podróżnych łupił, domy w miastach ogałał. Żaden gospodarz i podróżny nie mógł być pewien swego mienia, a nawet i życia. Z największym upodobaniem kradł jednak Peter konie, bo podobnie jak tatuś właśnie w tym procederze się wyspecjalizował. Stale powracał do więzienia i identycznie, jak w przypadku ojca, lata tam spędzone niczego w nim na dobre nie zmieniły, a wręcz odwrotnie. Podczas kolejnego, chwilowego pobytu na wolności, w oko wpadła mu młoda kobieta, która była na służbie u pewnych gospodarzy z Sojkówka. Ci, radzili dziewczynie trzymać się z daleka od zła wcielonego. Duschke junior postanowił posiąść dziewczynę siłą, lecz ta oblała zalotnika wrzątkiem, pozostawiając trwałe blizny na jego twarzy. Winiąc gospodarzy za swe miłosne niepowodzenie i oszpecenie, Peter zamordował parę, po czym obwiesił się w lesie gospodarza Gorskiego. Pochowany został w przeznaczonym na odpadki kęcie sojkowskiego cmentarza. Grób miał być widoczny jeszcze w roku 1939. Przynajmniej do tego czasu, duch Petera wskakiwał podobno korzystającym ze skrótu przez cmentarz na ramiona i kazał nieść się „na barana” do końca cmentarza²².



Ilustracja 5. Cmentarz ewangelicki w Sojkówku. Miejsce spoczynku i pośmiertnej aktywności Petera Duschke. Fotografię wykonano w sierpniu 2018 r.

Źródło: *Zapomniane cmentarze. Sojkówek – cmentarz ewangelicki*, na portalu trobal.pulawy.pl.

²² Günther Ratke, *Die Heimat. Chronik der familie Ratke und Ihrer Anverwandten*, s. 127.

FANATYZM

W niedzielny poranek 10 lipca 1887 r. mieszkańcy Laskowizny bracia Andrzej i Józef Brzostkowie zbierali grzyby w otaczających wioskę lasach. W miejscu odległym mniej więcej o dwa kilometry od wioski oraz o dwa i pół kilometra od drogi łączącej Brok z Nagoszewem natknęli się na straszliwie okaleczonego, dogorywającego człowieka. Po dłuższym przypatrywaniu się szerniałej, pokrytej głębokimi ranami twarzy rozpoznali w nieszczęśniku dobrze im znanego Franciszka Płatkowskiego, lat 32, mieszkańca wioski Bosewo k. Długosiodła.

Franciszek Płatkowski urodził się w Zarębach Kościelnych w rodzinie starozakonnego szewca Mortki i Malki ze Szliflewiczów, a imię nadano mu Moisiej. Później rodzina przeniosła się do Broku. W lipcu 1876 r. przyjął wiarę chrześcijańską, a wraz z nowym wyznaniem imię Franciszek. W październiku tego samego roku pojął w kościele w Długosiodle za małżonkę Salomeę Bańkę, lat 22, córkę kowala Jana i Ewy z Krzyżanowskich, mieszkańców Bojewa, bardziej znanych pod nazwiskiem Majewscy (świadkiem był m.in. Stanisław Wojciechowski, gospodarz z Broku, lat 45)²³. Wkrótce po ślubie musiał wdziać carski szynel, a po powrocie trudnił się wyuczonym w rodzinnym domu szewstwem. Najwidoczniej nie było łatwo, związać koniec z końcem łataniem wieśniaczych butów, bo dorabiał sobie zbieraniem jałmużny. Kontaktów z żydowską rodziną nie utrzymywał – ta zresztą z racji porzucenia wiary przodków, uznawała Franciszka za zmarłego.

Z bełkotu wydobywającego się z poranionych ust Płatkowskiego bracia rozumieli, że błagał o pomoc. Pomogli umierającemu dowlec się do wioski, po czym zawiadomili starszego strażnika ziemskiego, któremu w beładnych, trudnych do zrozumienia słowach Franciszek próbował opowiedzieć o wydarzeniach zeszłego wieczora i nocy. Widać było, że nieborak ledwie dycha, więc położono go na furmance i powieziono do wojskowego lazaretu w Ostrowi. Przybyły do szpitala sędzia śledczy chciał ofiarę natychmiast przesłuchać, ale że stan ofiary był krytyczny, to lekarz odmówił. Po dokonanej obdukcji medyk stwierdził: całkowitą utratę wzroku; trudne do zliczenia, skutkujące trwałym oszpeceniem blizny na twarzy; utratę czterech zębów; liczne oparzenia oraz ostry stan zapalny podniebienia, języka i gardła. Rany powstały na skutek działania żrącej substancji, najprawdopodobniej kwasu siarkowego. Ogólny stan ofiary doktor określił w dwóch słowach – ciężkie kalectwo. Dopiero po dziesięciu dniach od chwili przyjęcia do szpitala, medyk zgodził się, aby Płatkowski został przesłuchany przez sędziego. Podług ofiary przestępstwa wypadki tamtego feralnego dnia i nocy przedstawiały się następująco.

W sobotę 9 lipca wyszedł z domu w Bosewie, by zbierać po okolicznych wioskach jałmużnę. Około południa zaszedł do Długosiodła, gdzie mieszkał jego wuj, starozakonny Dawid Płatkowski oraz Jankiel Kochman, trudniący się furmaństwem zięć tegoż Dawida. Pan Franciszek postanowił pozostać w miasteczku, czekając na otwarcie po szabasie żydowskich sklepików. Kręcąc się bez wyraźnego celu po uliczkach, natknął się na swego wuja, wyżej

²³ *Akta stanu cywilnego gminy Długosiodło. Księga małżeństw*, akt nr 26/1876, AP w Warszawie Oddz. w Pułtusku.

wspomnianego Dawida, a ten przywitał krewniaka zaskakująco serdecznie. Ze współczuciem wysłuchał opowieści Franciszka o biedzie, w której żyje i wzruszony zaprosił familianta do swego domu. Tak się szczęśliwie składało, że miał tam być także Mortka, który przybył z Broku, aby spotkać się z synem i wesprzeć go kilkoma rublami. Pan Franciszek nie widział nic podejrzanego w tym nagłym wybuchu rodzinnej życzliwości i z radością przyjął zaproszenie wuja. Niedaleko kościoła przechodzili koło stojącej furmanki. W tym momencie, jak spod ziemi pojawił się Jankiel, po czym wraz z Dawidem obezwładnili Franciszka, wrzucili go na furkę i siedząc na zamroczonej ofierze, powieźli ją w kierunku lasu:

W lesie ściągnęli go z furmanki, dusili za gardło, powalili na ziemię, gniatli piersi kolanami, usiłowali wlać do ust gryzący płyn, a następnie obleli tym płynem twarz i oczy. Gdy zaś poszkodowany leżał już na wpół bez życia, Kochman, uważając go za zmarłego, uderzył go jeszcze butelką w twarz i powiedział po żydowsku: „no, teraz będzie miał dosyć”, poczem przykryli go chrustem i odjechali. Poszkodowany leżał tak pewien czas, potem wylazł spod chrustu po omacku, gdyż oczy miał wypalone, i w tem miejscu rano znaleźli go Brzostkowie²⁴.

Podczas zajścia, widzący jeszcze Płatkowski, dostrzegł kątem oka stojącego opodal jeszcze jednego Żyda, który później brał udział w maltretowaniu poszkodowanego, ale pan Franciszek nie rozpoznał, kim był ów oprawca. Pytany o domniemaną przyczynę takiego bestialstwa, odparł, że krewni kierowali się z pewnością pragnieniem zemsty, bo konwersja członka rodziny okrywa hańbą całą rodzinę. To była prawdopodobnie przyczyna, dla której Mortka, nie mógł znaleźć mężów dla swych dwóch córek, a siostr Franciszka.

Dawid Płatkowski i Jankiel Kochman zostali aresztowani pod zarzutem usiłowania zabójstwa, lecz nie przyznali się do winy, a nawet dysponowali alibi potwierdzonym przez członków starozakonnej społeczności. Znaleźli się jednak liczni świadkowie, którzy owego wieczora widzieli podejrzanych wraz z Franciszkiem Płatkowskim, inni zaś odnotowali, że niedzielnym porankiem oskarżeni wracali furmanką do Długosiodła już tylko we dwójkę. Zbadano także odzież podsądnych. Na mankietach koszuli Jankiela Kochmana odnaleziono plamy identyczne z tymi, jakie kwas siarkowy pozostawił na odzieży ofiary.

Podczas procesu wyszły na jaw pewne nowe okoliczności wydarzeń, dla jakich las koło Laskowizny był sceną w nocy z 9 na 10 lipca 1887 r. Okazało się, że zanim oskarżeni przystąpili do wyżej opisanych, sadystycznych czynności, nakłaniali poszkodowanego do powrotu na łono religii mojżeszowej, obiecując, że jeśli to zrobi, to rodzina wyekspeduje go na swój koszt do Ameryki. Horror rozpoczął się, gdy Franciszek stanowczo odmówił porzucenia wiary chrześcijańskiej.

Wysoki sąd wziął pod uwagę, że choć Dawid Płatkowski i Jankiel Kochman powzięli zamiar zabójstwa Franciszka Płatkowskiego, to wobec niemożności wiania dostatecznej ilości substancji żrącej w usta swej ofiary, zadowolili się oblaniem kwasem twarzy i oczu ofiary. Fakt zaś, że choć mieli taką możliwość, to nie uciekli się do innej metody zabójstwa, świadczy, iż odstąpili z własnej woli od zbrodniczego zamierzenia.

²⁴ A. H., *Fanatyzm religijny*, s. 526.

Wcześniejsze przygotowanie furmanki i narzędzia zbrodni w postaci kwasu świadczy jednak, iż z premedytacją planowali zamienić pozostałą część życia swej ofiary w nieprzerwany ciąg cierpień.

Wyrokiem z 18 listopada 1888 r. Sąd Okręgowy w Łomży uznał Dawida Płatkowskiego, lat 42 i Jankiela Kochmana, lat 20 za winnych udręczenia Franciszka Płatkowskiego, czego skutkiem było jego trwałe kalectwo i oszpecenie. Sąd skazał oskarżonych na pozbawienie wszelkich praw publicznych i zesłanie na ciężkie roboty: Dawida Płatkowskiego na lat sześć, natomiast jego zięcia Jankiela Kochmana na lat cztery. Po odbyciu wymierzonej kary, obaj mieli pozostać dożywotnio na Syberii²⁵.

Oskarżyciel publiczny wyrok oprotestował, natomiast obrona złożyła apelację.

OPRYSZKOWIE

Do momentu budowy linii kolejowej Warszawa – Petersburg, ruch na przebiegającym przez Trzciankę trakcie z Warszawy przez Serock do Białegostoku był niezwykle ożywiony. W Trzciance zaś był obszerny zajazd, słynący z dostępnych tam wygod oraz... z okradania podróżnych. Gdy ruch na trakcie znacznie zmaleł, to rzezimieszkowie wynieśli się z Trzcianki w poszukiwaniu miejsc oferujących łatwiejsze i atrakcyjniejsze zdobycze.

Po jakimś czasie trzech miejscowi włościanie postanowili reaktywować miejscową, ponurą tradycję. Do ojców założycieli nowej bandy dołączyli rychło kolejni, a na ich czele stanął niejaki Tymiński, który swą prawą ręką uczynił Osowieckiego. Bandyci nawiązali kontakty z podobnymi im wyrodkami z sąsiednich wiosek i stworzyli coś na kształt lokalnego związku przestępczego.

Powtarzające się obławy żandarmerii i straży ziemskiej dały tyle, że zbójcy opuścili wioski i kryli się po lasach, gdzie urządzili sprytnie obmyślane kryjówki. Włościanie, głównie z obawy przed zemstą, a czasem w nadziei na udział w łupach, ostrzegali opryszków o kręcących się po w okolicy przedstawicielach prawa, więc wytropienie i rozbitcie bandy było sprawą niełatwą. Rozzuchwaleni swą bezkarnością zbójcy coraz częściej napadali na podróżnych na drogach, terroryzując całą okolicę. O sprawie zaczęło być głośno w Warszawie, a nawet w Petersburgu, ale bandyci pozostawali nieuchwytni. Wreszcie, pewnego jesiennego dnia roku 1896, ktoś doniósł, że „herszt bandy znajduje się w pewnym domu w pobliżu Ostrowi. Kilku strażników pod komendą starszego strażnika Szerockiego, otoczyło dom znieścacka i mimo gwałtownego oporu, ujęto Tymińskiego, oraz jego trzech współników”²⁶.

²⁵ A. H., *Fanatyzm religijny*, s. 528.

²⁶ *Banda trzciańska*, „Kurjer Warszawski” nr 338 z 6 grudnia 1896 r.

PIENIACTWO

Wirus pieniactwa, który od wieków hulał pośród polskiej szlachty, atakował także inne stany, a uwłaszczenie chłopów w 1864 r. stworzyło wymarzone warunki do szerzenia się tego choróbska także pośród włościan. Bystry obserwator zachodzących w polskim społeczeństwie przemian pisał pod koniec XIX w.: „Pieniactwo wśród warstw niższych jest i u nas chroniczną chorobą, dotykającą w pewnej mierze i warstwy zamożniejsze. Pieniactwo to, trapiące dawniej drobną szlachtę i mieszczan, po przyjsciu do własności ziemi najliczniejszej ludności wiejskiej, ogarnęło prawie na równi i jej sferę, a śmiało rzec można, iż poziom ogólnego dobrobytu obniżony jest u nas w pewnym stopniu przez kosztowne procesownictwo”²⁷.

Przyczyny tego stanu rzeczy były wielorakie. Pewien gospodarz tak objaśniał, czemuż to po kiepskich zbiorach chłopci tłumnie wyruszyli do sądów – „skoro ludzie mało mają w tym roku zboża do młócenia, więc żeby nie próżnować, muszą się ciągać po sądach”²⁸.

Wojny przynoszą głód i plagi wszelakie, więc nie dziwota, że i pieniactwo rozkwitło podczas I wojny światowej i niemieckiej okupacji. W nienormalnych, surowych, okupacyjnych warunkach rosła demoralizacja ludności. Szerzyło się złodziejstwo, donosicielstwo i o byle co wybuchały spory. Gdy ze wschodu poczęli powracać ci, którzy zmuszeni zostali do opuszczenia domów wraz z wycofującą się armią rosyjską, często zastawali resztki pozostawionego mienia rozdzielone pomiędzy krewnych i sąsiadów. Wzajemne pretensje i rozrachunki sięgnęły zenitu. Po sprawiedliwość udawano się często do Niemców, ale ci mieli już dosyć własnych kłopotów na froncie zachodnim i u siebie w kraju. Jeszcze zanim 7 października 1918 r. Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Polski, sądy poczęły ogłaszać wyroki w imieniu „Korony Polskiej”. Puściły wtedy wszelkie hamulce związane z szukaniem sprawiedliwości u obcych. Także i w naszej okolicy, po obu stronach Bugu rozpruł się worek z pozwami i oskarżeniami.

Szczególnie dużo akt pozostało po Królewsko-Polskim Sądzie Pokoju w Sadownem. Wybrałem trzy przypadkowe sprawy, ale i ta skromna próbka dowodzi, że pretekstem do wodzenia się po sądach, mogła być najdrobniejsza rzecz i każde błahe zdarzenie.

20 czerwca 1918 r. wszczęto w wyżej wymienionym sądzie postępowanie o samowolne przywłaszczenie piły poprzecznej o wartości 25 marek²⁹. Sprawę wytoczył Edmund Wiechowski z Sadolesia przeciwko kolonście Frydrychowi Rysztochowi. 1 czerwca Rysztoch pojawił się w gospodarstwie Wiechowskiego w towarzystwie dwóch niemieckich żołnierzy, z których jeden nosił nazwisko Ostenda (nazwisko drugiego pozostaje nieznane) i dokonał zaboru wyżej wspomnianej piły, którą pan Edmund kupił u niejakiego Mendla Uszera zamieszkałego we wsi Wielgie-Topór. Naocznym świadkiem tego najścia był Jan Szymanik z Sadolesia.

²⁷ Zygmunt Gloger, *Sądy polubowne*, „Gazeta Warszawska” nr 240 z 11 września 1890 r.

²⁸ Zygmunt Gloger, *Z tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” nr 1 z 1 stycznia 1890 r.

²⁹ *Akta w sprawie wytoczonej przez Edmunda Wiechowskiego (zam. w Sadolesiu gm. Sadowne), przeciwko Frydrychowi Rysztochowi (zam. tamże) oskarżonemu o samowolę*, sygn. 54, zesp. 62/1392/0, AP w Siedlcach.

Do rozprawy doszło 6 lipca w Sadownem. Sędzią pokoju był Antoni Wycech³⁰, ławnikami Sobotka i F. Kalbarczyk, sekretarzem zaś Biernacki. Powołany na świadka Mendel nie stawił się, a Szymanik potwierdził słowa Wiechowskiego. Pozwany przyprorowadził ze sobą dwóch świadków – Samuela Ewalda i Karola Majewskiego. Dwójka ta zgodnie oświadczyła, że piłę, o którą toczył się spór, Rysztoch zakupił jeszcze przed wojną. Ponieważ zeznania były sprzeczne, a Mendel, który mógłby więcej wniesić do sprawy, przed sądem się nie stawił, więc sprawę odroczone, a na uchylającego się od zeznań Mendla nałożono 10 marek kary. Starszy felczer Jan Kłosiński wystawił jednak zaświadczenie, że starozakonny chory jest na zapalenie nerek i pozostanie cierpiącym jeszcze przez sześć tygodni. Sprawę odraczano jeszcze dwukrotnie, po czym ucichła. Być może Uszer wszedł w posiadanie piły drogą niezupełnie legalną i we własnym interesie, zdołał spór załagodzić?

W sprawie kolejnej wójt gminy Sadowne Antoni Brudka oskarżał Ignacego Rybińskiego o rzucanie obelg³¹. Według wójta burza rozpętała się 14 czerwca 1918 r., gdy sołtys wsi Sadowne Jan Zbrzeźny, doniósł powodowi, że „mieszkańcy wsi Sadowne Ignacy Rybiński i Stanisław Filipowicz odmówili płacenia przypadającej sumy 9 marek 35 groszy, nałożonej na nich przez komisję mięsną, od krowy, z rozporządzenia Cesarsko Niemieckiego Naczelnika Powiatu Sokołów-Węgrów i oprócz tego naubliżali słownie sołtysowi”. Wiele nie czekając, wójt w towarzystwie sołtysa i członka komisji mięsnej Stanisława Jóźwika udał się do pozwanych, z żądaniem wypłacenia owej kwoty pod groźbą fantowania, czyli odebrania jakiejś rzeczy odpowiadającej wartością wymienionej sumie, a należącej do pozwanych. W odpowiedzi Rybiński publicznie zelżył wójta, a ten zabrał Rybińskiemu jako fant siekiere i przekazał ją sołtysowi. W tym momencie „Rybiński z synem rzucili się na sołtysa, Ignacy Rybiński dusił go za gardło, syn wyrwał sołtysowi siekiere, a wójtowi powtórnie nawymyślał i oprócz tego zagroził, że wójtową osadę z dymem puści, lub bolszewików naśle, to wójta ubiją, a wtedy wójt pójdzie kamienie tłuc do niego na szosę”. Wójt uznał te postęпки i słowa za przedsmak mających wkrótce nadejść „praktyk bolszewickich”. Zapachniało wielką polityką i na sadoweńskim sądzie pokoju sprawa mogła się nie zakończyć. Sąd pod przewodnictwem Antoniego Wycecha zebrał się 13 lipca. Szczęśliwie i tym razem główni aktorzy zatargu doszli do porozumienia, więc wójt wycofał oskarżenie, a sprawę umorzono.

2 grudnia 1918 r. Franciszek Bieńko z Sadolesia złożył skargę przeciwko małżonkom Jakubowi i Rozamundzie Reslau³². Podobnie, jak pozostali niemieccy koloniści, także i Reslauowie sprzedali większą część swego mienia przed deportacją na wschód w lutym 1915 r. Ich stół i szafę nabył właśnie Bieńko. Po powrocie do Sadolesia małżonkowie w asyście niemieckich żandarmów weszli pod nieobecność pana Franciszka do jego domu i dokonali zaboru wzmiankowanych mebli, a pokrzywdzony ocenił swą stratę na czterysta marek.

³⁰ Antoni Wycech był ojcem Czesława Wycecha, nauczyciela, historyka, działacza ludowego, ministra oświaty, marszałka Sejmu PRL. Ukończył kilka klas gimnazjum, co otworzyło mu drogę do objęcia stanowiska wybieralnego sędziego gminnego.

³¹ Akta w sprawie wytoczonej przez Antoniego Brudko wójta gminy Sadowne, przeciwko Ignacemu Rubińskiemu (zam. w Sadownem), oskarżonemu o obelgi, sygn. 56, zesp. 62/1392/0, AP w Siedlcach.

³² Akta w sprawie wytoczonej przez Franciszka Bieńka (zam. w Płatkownicy gm. Prostyń) przeciwko Jakubowi i Rozamundzie Reslau (zam. w Sadolesiu gm. Sadowne), oskarżonym o samowolę, sygn. 111, zesp. 62/1392/0, AP w Siedlcach

Bieńko powołał na świadków: Aleksandra Pogorzelskiego i Józefa Kowalczyka z Płatkownicy oraz Józefa Gołaszewskiego z Sadownego.

Do pierwszej rozprawy doszło już 10 grudnia. Reslauowie nie przyznali się do winy. Pogorzelski zeznał: „Miesiąc temu ja widziałem, że Reslau z żandarmem oderwali zamek w mieszkaniu Bieńka i z jego mieszkania zabrali szafę wartości 300 marek i ponieśli do domu”. Także Kowalczyk i Gołaszewski widzieli, jak „Reslau z żandarmem zamek tłukł, po czym zabrali stół i szafę, co je Bienieki u nich kupił”. Opisany przebieg wydarzeń potwierdził sołtys Stanisław Królikowski.

Po naradzie sąd postanowił: „Jakuba Reslau i Rozamundę Reslau posadzić do aresztu na dziesięć dni każdego i przysądzić z nich dwadzieścia marek opłaty sądowej i trzysta marek za stół i szafę”. Szczęśliwy koniec sprawa znalazła dopiero 21 grudnia, bo wówczas w gminnym urzędzie stawili się powód i pozwani, po czym oświadczyli, że się pogodzili, a rzeczy zostały zwrócone. Małżonkowie Reslau pozostali na wolności z trzystoma markami w kieszeni, ale czterdziestu marek kosztów sądowych nie odzyskali.



Ilustracja 6. *Osada Sadowne i Sąd Pokoju*³³.

³³ Fotografia i opis z rękopisu ks. Piotra Aleksandrowicza, *Sadowne. Historia parafii*.

BIBLIOGRAFIA

Aleksandrowicz Piotr, *Sadowne. Historia parafii*, rkps, Kancelaria Parafii Rzymskokatolickiej p.w. św. Jana Chrzciciela w Sadownem.

Adamczyk Władysław, *Ceny w Lublinie od XVI do końca XVIII wieku*, Lwów : Instytut Popierania Polskiej Twórczości Naukowej, 1935.

A. H., *Fanatyzm religijny*, „Gazeta Sądowa Warszawska” nr 33 z 17 sierpnia 1889.

Banda trzciańska, „Kurjer Warszawski” nr 338 z 6 grudnia 1896 r.

Baranowski Bohdan, *Ludzie gościńca w XVII-XVIII w.*, Łódź : Wydawnictwo Łódzkie, 1986.

Gloger Zygmunt, *Z tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” nr 1 z 1 stycznia 1890 r.

Gloger Zygmunt, *Sądy polubowne*, „Gazeta Warszawska” nr 240 z 11 września 1890 r.

Gloger Zygmunt, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. IV, Warszawa : Wiedza Powszechna, 1972.

Choińska-Mika Jolanta, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą: problemy komunikacji społeczności lokalne – władza w epoce Jana Kazimierza*, Warszawa : Wydawnictwo Neriton, 2002.

Choińska Małgorzata, *Społeczeństwo miasta Tykocina w XVIII i XIX wieku*, Białystok : Uniwersytet w Białymstoku – Wydział Socjologiczno-Historyczny – Instytut Historii, 2013.

Karpińska Małgorzata, *Złodzieje, agenci, policyjni strażnicy... Przestępstwa pospolite w Warszawie*, Warszawa : Wydawnictwo DiG, 1999.

Kitowicz Jędrzej, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Warszawa : Państwowy Instytut Wydawniczy, 1985.

Kuchowicz Zbigniew, *Obyczaje staropolskie*, Łódź : Wydawnictwo Łódzkie, 1975.

Radziwiłł Albrycht Stanisław, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, przełożyli i oprac. Adam Przyboś i Roman Żelewski, Warszawa : Państwowy Instytut Wydawniczy, 1980.

Ratke Günther, *Die Heimat. Chronik der familie Ratke und Ihrer Anverwandten*, Weddingstedt 2000.

Syska Henryk, *Obleciałem Kurpie-Gocie*, Warszawa : Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1955.

ŹRÓDŁA ARCHIWALNE

Księga Bractwa Różańcowego; Kancelaria Parafii Rzymskokatolickiej p.w. św. Andrzeja Apostoła w Broku.

Akta stanu cywilnego gminy Długosiodło. Księga małżeństw 1876, Archiwum Państwowe w Warszawie Oddział w Pułtusku, na portalu genealodzy.geneteka.pl.

Akta w sprawie wytoczonej przez Edmunda Wiechowskiego (zam. w Sadolesiu gm. Sadowne), przeciwko Frydrychowi Rysztochowi (zam. tamże) oskarżonemu o samowolę, sygn. 54, zesp. 62/1392/0, Archiwum Państwowe w Siedlcach.

Akta w sprawie wytoczonej przez Antoniego Brudko wójta gminy Sadowne, przeciwko Ignacemu Rubińskiemu (zam. w Sadownem), oskarżonemu o obelgi, sygn. 56, zesp. 62/1392/0, Archiwum Państwowe w Siedlcach.

Akta w sprawie wytoczonej przez Franciszka Bieńka (zam. w Płatkownicy gm. Prostyń) przeciwko Jakubowi i Rozamundzie Reslau (zam. w Sadolesiu gm. Sadowne), oskarżonym o samowolę, sygn. 111, zesp. 62/1392/0, Archiwum Państwowe w Siedlcach.

Miasto Brok, vol. III, jedn. 4279, zesp. 1/191/0, Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie.

Miasto Brok, vol. V, jedn. 4281; zesp. 1/191/0, Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie.

Pułtuskie grodzkie jurysdykcji biskupiej, sygn. 12, zesp. 42, Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie.

ILUSTRACJA WYRÓŻNIAJĄCA ARTYKUŁ

Jan Czesław Moniuszko, *Pojedynek w karczmie*, olej na płótnie, 1896. Pozyskano dzięki uprzejmości Muzeum Narodowego w Krakowie. Domena publiczna.